

portret

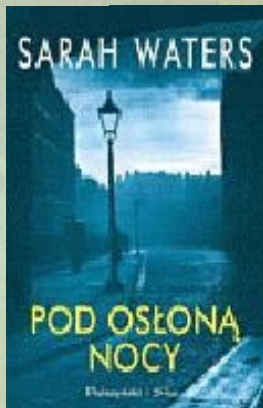
28

portret/online/nr28/05/2007/

Anna Rau

Noc nie osłoni

Key żyje w samotności. W 1941 roku kocha Julię, szaloną, zaczepną, uzdolnioną pisarkę dziewczynę. Helen też kocha Julię. Kocha ją w 1947 roku. „Przejęła” ją po Key. Julia nadal pozostała niezależna i szalona, zupełnie inna niż Viv, z którą Helen pracuje w biurze matrymonialnym. Z Viv regularnie kocha się Reggie. Prócz tego twierdzi też, że oczywiście ją bardzo kocha, ale ma żonę, więc... Duncan, brat Viv, nie ma żony, i pewnie nigdy mieć nie będzie, z przeróżnych względów zaś żyje w towarzystwie i (niemal) na utrzymaniu pana Horacego. Nazywa wujkiem tego, który w 1944 roku był w więzieniu jego



strażnikiem... Oto większość bohaterów wojenno-obyczajowej powieści Sarah Waters „Pod osłoną nocy”. Noc nikogo z nich, nikogo z mieszkańców wojennego i tuż-powojennego Londynu, nie osłoni przed nalotami samolotów niemieckich i zrzuconymi przez nie bombami pełnymi śmierci, nie osłoni tych zasypanych żywcem w schronach i w swoich schludnych, iście w angielskim stylu, domkach. Noc też nie zakryje dziewczyn, które się kochają, czy mężczyzn, którzy pożądają mężczyzn, przed spojrzeciami potępiającymi tak bezbożne skłonności. Tak, powieść Sarah Waters pełna jest pięknych lesbijek, zwyczajnych gejów oraz różnorakich hetero z problemami natury osobistej. I bynajmniej nie jest to skandalizująca książka z serii „Różowa Landrynka”, lecz dobra w sensie warsztatowym i mądra proza obyczajowa.

Książka z przesłaniem (acz bez nachalnego moralizatorstwa) oraz z solidną porcją niejako samoutrwalającej się wiedzy o rzeczywistości wojennej stolicy Wielkiej Brytanii. Londyn na kartach powieści urasta bowiem do rangi pełnoprawnego jej bohatera, co podkreśla sugestywność opisów codzienności owego czasu: zaciemnionych uliczek, na wpół zburzonych domów, zapalających się od bomb dachów, tajemniczych szeptów i straszliwych swą zapowiedzią trzasków. Słynna i po wielokroć obśmiana angielska powściągliwość świetnie zrobiła powieści dotyczącej II wojny światowej. Właśnie dzięki temu lektura ta stanowi ciekawe doświadczenie czytelnicze – proszę tylko sobie wyobrazić, rzecz nie do pomyślenia! pisanie o wojnie bez choćby cienia martyrologii! Bez rozszarpywania traum narodowych, która to czynność (niejako sama w sobie siebie) wydaje się ulubioną formą

podawczą polskich pisarzy. Sarah Waters opisała także doświadczenia bez nadużywania słów „ojczyzna”, „cierpienie” czy „poświęcenie”. Uczyniła starte schematy literackie czymś świeżym i budzącym zaciekawienie, także ze względu na świetnie nakreśloną warstwą obyczajową – choćby przez opisy wewnętrznej organizacji nocnego pogotowia ratunkowego, czy rozwiązań sytuacji poranionych, pozbawionych kończyn, zasypanych mieszkańców stolicy. Cóż możemy wiedzieć o zwyczajnym bytowaniu londyńczyków, tak różnym od doświadczeń mieszkańców okupowanych miast polskich?... Prócz tego ważnym jest, iż obraz punktowo zrujnowanego miasta stanowi jakby symbol wewnętrznego skomplikowania bohaterów powieści – ich umysłów pełnych zranień, strat, tęsknot, niezrealizowanych pragnień, żalów po pochopnie podjętych decyzjach.

Waters w swojej powieści przekracza kolejny, trudny dla tak wielu pisarzy, literacki kamień milowy: niezwykle elegancko i z wyczuciem opisuje wspomniane na wstępie związki homoseksualne, aczkolwiek stary i dobrze znany mechanizm „zakochanie – uwiedzenie – połączenie – trwanie – rozstanie” przedstawia sprawiedliwie: na przykładzie par – tak jedno-, jak i dwupłciowych. Mało kto orientacji hetero (czyli według statystyk większość populacji) przyzna się, iż mimo deklaracji o tolerancji, jednak ciekawi go owa odmienność, tak samo zresztą jak, oględnie mówiąc, „sprawy techniczne”. Dla niezdrowo ciekawskich, niezorientowanych i niedomyślnych Waters podkreśla przekaz „miłość jest miłością bez względu na płeć”. Nakręcono wiele filmów i napisano jeszcze więcej książek z wykorzystaniem motywu związków homoseksualnych, a jednak tylko nieliczne ukazały to

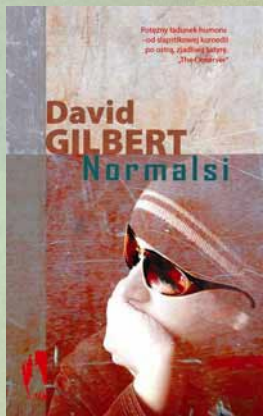
bez historycznej emocjonalności, bez uprzedzeń, bez, z jednej strony, idealizacji (były i takie!), z drugiej – bez pruderyjnego zawstydzenia, bez seksualnego przejawienia czy niepotrzebnej brutalizacji, a wreszcie bez obłego ślinienia się w stylu: „wicie, dwie baby tego...”. Tak więc ta książka to kolejny ciężarek uświadomienia na szali wagi antyhomofobii, argument za tym, że orientacja tak naprawdę – oczywiście – nie ma znaczenia. Bohaterowie powieści Waters żyją tak zwyczajnie jak chyba każdy z czytelników: po prostu wstają, pół dnia pracują, wracają do swoich partnerów, trochę rozmawiają i kładą się spać, a w tym czasie doprowadzają do końca swoje małe dramaty lub przeżywają chwile mikrouniesień dnia codziennego. Nie jest to bynajmniej nudne: dialogi są żywe i błyskotliwe, a opisane „zwyczajne” sytuacje to latarki dające ogłód całości – wszak wszystko, co ważne, dzieje się pod osłoną nocy... Naloty, nagłe śmierci, połączenia rąk, pospieszne pocałunki, niechciane cięższe, życie takie zwyczajne, skóra tak jedwabista, praca taka nudna, tak bardzo się nie chce umierać. Nocy, nocy, zasłoń nas, spadnij na nas, ochroń przed stratą domu, nagłym odwróceniem głowy najbliższego za inną, przed nagłą a niespodziewaną śmiercią...

Sarah Waters,
Pod osłoną nocy,
tłum. Magdalena Gawlik-Malkowska,
Wyd. Prószyński i S-ka,
Warszawa 2007.

Ale to już było...

Nina Olszewska

Przed każdym pisarzem stoją otworem dwie drogi działalności twórczej: albo będzie próbował zmieniać świat i historię literatury, pójdzie ścieżką eksperymentu, narazi się na brak zrozumienia ze strony sobie współczesnych oraz na ewentualną nieśmiertelną sławę i opinię geniusza za jakieś sto lat, albo podrepcze sobie szlakiem, który już ktoś przed nim przetał, postara się o dopisanie swojego nazwiska na jednej z dalszych



pozycji istniejących już list autorów danego kierunku, nurtu czy stylu. Wybór tej drugiej drogi niesie za sobą olbrzymie niebezpieczeństwo: bardzo trudno jest przeskoczyć pierwowzór. A jeśli jakiegoś biednego, początkującego pisarzynę czeka los kiepskiej imitacji Jakiegoś Wielkiego Nazwiska, to czy nie lepiej zawczasu zrezygnować z zapędów literackich? Jest tyle innych, ciekawych zawodów.

„Normalsi” Davida Gilberta porównywani są z „Lotem nad kulczym gniazdem” i „Paragrafem 22”, przynajmniej przez autora noty wydawniczej znajdującej się na okładce. Porównywać owszem można, jednak takie zestawienie tytułów nie jest i nigdy nie będzie dla Gilberta korzystne.

Litanie głównych wad tej książki zacznę od opisu odczuć czytelnika: okrutne dłużyzny. Książka chwilami jest tak nudna, że nawet najbardziej wytrwały zwolennik czytania ma ochotę zrezygnować z obcowania ze słowem pisany, na rzecz oglądania „Mody na sukces”. Taki stan rzeczy zdumiewa w utworze opisywanym jako „potężny ładunek humoru”. Swoją drogą, lektura ta zmusiła mnie do poważnego zastanowienia się nad własnym poczuciem humoru. Myślałam, że mam, a tu proszę. Chwilami faktycznie jest zabawnie, ale nie dostrzegłam tam cienia nawet slapstickowej komedii, że o zjadliwej satyrze nie wspomnę. Po prostu: chwilami można się uśmiechnąć czytając, ale tak bez przesady.

Dostrzegłam za to czarny humor, wisieleczy wręcz, a błysnął nim

autor kreując postać głównego bohatera. Billy Schine jest karykaturą człowieka. Dwadzieścia osiem lat, brak planów na przyszłość, życie na zasadzie „jestem, bo jestem, ale nie poza tym”, nawet przeszłość jakaś nieudana. Skończył Harvard, co dało mu wykształcenie humanistyczno-ogólne, czyli żadne, bo absolutnie nie ma przełożenia na pracę czy jakąkolwiek działalność. Z rodzicami nie ma najmniejszego kontaktu. O tym, że matka cierpi na chorobę Alzheimera dowiaduje się dopiero, gdy trafia ona do domu opieki, tuż przed śmiercią. Rodzice przypominają sobie o synu, tylko dlatego, że chcą w rocznicę śmierci popelnąć samobójstwo i oczekują od niego pomocy w tym przedsięwzięciu. Na Billym nie robi to większego wrażenia. Na Billym niewiele rzeczy w ogóle robi wrażenie. Makabra. Na kwestie damsko-męskie w wykonaniu Schine’a lepiej od razu spuścić litościwą zasłonę milczenia. Żyje z dnia na dzień, nie wiedząc po co, siłą rozpędu i daje się ponieść fali wydarzeń. Do tego laja i nieudacznik. Billy Schine nie jest postacią pozytywną, raczej irytującą.

Cóż sprawia, że porównania z „Lotem nad kukulczym gniazdem” same się nasuwają? Otóż akcja powieści rozgrywa się w klinice, gdzie na normalnych, zdrowych ochotnikach – normalsach – testowane są leki psychotropowe. Zestawienie szaleństwa z normalnością, obserwacje przeróżnych dziwnych stanów i zachowań, zmian, które zachodzą w ludziach w wyniku ingerencji farmakologicznej – oto ósmy wydarzeń. Atmosferę podkręca wiszące w powietrzu pytanie: „kto

dostaje prawdziwe leki, a kto placebo?”. Brzmi nieźle. Niestety, tylko brzmi. Ta część fabuły nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Nastrój niepokoju i szaleństwa nie udzielił mi się ani trochę. Czy to wada stylu autora? Trudno powiedzieć. Jedno jest pewne. Nawet gdyby udało mu się stworzyć stosowny klimat szaleństwa, i tak brakowałoby pewnego ważnego elementu. Charakterystycznego, mocnego bohatera, który stałby na straży normalności lub, na przykład, przeżywał kryzys osobowości - nieważne, istotne, że czytelnicy staliby za nim murem. Popieraliby go, zaintrygowani i zafascynowani tą postacią. Billy Schine nie jest stworzony na przewodnika w rzeczywistości pełnej zagadek. Nie mając osobowego punktu odniesienia w powieści, czytelnik sam zwiedza zakamarki fabuły. Efekty tego zwiedzania nie zachwycają. Billy to miałki bohater, z miałkiego świata. Nic ciekawego, nic wciągającego.

Istotnym elementem rzeczywistości kliniki jest telewizja. Normalni wciąż siedzą przed telewizorem, właściwie oś czasu w powieści wyznaczona jest przez kolejne programy, repertuar kablówki. Głównym wydarzeniem medialnym jest sprawa chłopca, którego guz mózgu na zdjęciach rentgenowskich wygląda jak twarz z calunu turyńskiego. Oczywiście stał się on natychmiast bohaterem dla milionów Amerykanów, pod jego domem czatują tysiące pielgrzymów, szeroko omawiane są kolejne przypadki uzdrowień. Chuck staje się błyskawicznie produktem, towarem zarówno dla dziennikarzy, jak i swojej siostry, która gotowa jest mediom sprzedać jego ostatnie chwile. Można się w tym

dopatrzyć satyry na współczesne media, na USA, mentalność ludzi, a w szczególności Amerykanów. Inicjatywa słuszna, ale tak powszechna, że aż nudna.

Jednym z większym zaskoczeń przy lekturze „Normalsów”, przynajmniej dla mnie, był fakt, że cała sprawa Chucka nie szokuje. Całe to zamieszanie, totalny brak wyobraźni i zasad, czysto ekonomiczna potrzeba sensacji i wizja zarobku, objawiająca się na przykład tym, że jego sąsiedzi zaczęli wynajmować swoją ziemię na parking dla pielgrzymów – to nie zdumiewa. Rzeczywiście, zobojętnienie osiągnęło już punkt szczytowy. Niedługo wrażliwość społeczna zostanie uznana przez UNESCO za ginące dobro kultury. Zadziwia obojętność postaci z książki, zadziwia obojętność czytelnika. Wiem, że gdybym o historii Chucka dowiadywała się z TV, gdyby działo się to naprawdę, to tylko z politowaniem pokręciłabym głową, a kilka autorytetów wypowiedziałyby się na temat pustki emocjonalnej współczesnych. Przerazająca jest świadomość, że we wszystko można teraz wierzyć, nic nie dziwi, bo granice upodlenia w różnych przejawach dawno zostały przekroczone. Z przykrością jednak muszę stwierdzić, że taka smutna refleksja nie nasunęła mi się po pierwszy, nie żyłam w nieświadomości aż do przeczytania „Normalsów”. Ta książka miała napiętnować zjawisko, ale nie była w tym niezwykła czy odkrywca. Kolejny minus dla autora.

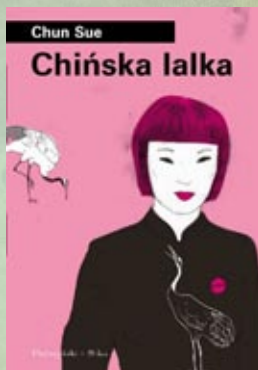
Może inżynier Mamoń najbardziej lubił piosenki, które już slyszal, ale chyba żaden, minimalnie nawet wybredny czytelnik, nie lubi książek, które już czytal i to w znacznie lepszej formie. Gilbert nie odkrył Ameryki, nie wniósł niczego swojego do literatury. Z trudem przebrnęłam przez 575 stron „Normalsów”, tylko i wyłącznie po to, żeby stwierdzić, że nic mi to nie dało. Wszystkie prawdy objawione już znałam, niczego nowego czy godnego uwagi nie odnalazłam. Doceńiam szczytne cele autora, bo zamierzenia miał imponujące. Tylko ich realizacja jakoś mu niestety nie wyszła.

*David Gilbert,
Normalsi,
przeł. Maciej Świerkocki,
Wyd. W.A.B.,
Warszawa 2007.*

Szlachetny hibiskus

Marta Skłodowska

Poszukiwanie wolności i tożsamości to najważniejsze i najtrudniejsze zadania młodego człowieka. Ale czy ktokolwiek zdefiniował, gdzie i kiedy młodość się zaczyna? Co ją determinuje i kiedy możemy o niej mówić? „Chińska lalka” Chun Sue to opowieść o utracie młodości poprzez walkę o swoją tożsamość. Walkę z mentalnością społeczną, szkołą, a przede wszystkim ze sobą. To wojna, w której możemy przegrać swoje życie, podjąć decyzje, których skutków odwrócić się już nie da. Ta książka z pewnością nie jest fenomenem literackim, ale porusza,



tak więc warto poświęcić jej czas i poznać realia współczesnego Pekinu i jego mieszkańców.

Chun Sue, a właściwie Lin Jiafu, poznajemy, gdy kończy gimnazjum i staje przed wyborem nowej szkoły, która być może zaprowadzi ją na wymarzone studia. Mimo wielu starań dziewczyna dostaje się jedynie do zawodówki, szkoły ogarniętej skazą władzy, z dyrekcją, która tłumi indywidualność i wymaga bezwzględного posłuszeństwa. Irracjonalność działań ciała pedagogicznego ukazuje nam obraz szkolnej tyranii i terroru, który hamuje jakikolwiek rozwój poza kontrolą, gdzie edukacja jest nauką jedynie wówczas, gdy wpisuje się w sztywne ramy “Wytycznych dydaktyczno-wychowawczych dla uczniów”, które wszyscy muszą znać na pamięć. W tym to otoczeniu do walki o siebie staje młoda dziewczyna. Buntem przeciw wszystkiemu wpada w wir przedwczesnej dorosłości, przedwczesnej kobiecości.

Jiafu jest młodą dziennikarką, pasjonatką rock and rolla i punka, przeprowadza wywiady z początkującymi chińskimi zespołami, poznaje światek artystyczny razem z jego brudem i szarością. Odkrywa fizyczną ekstazę w pustych ścianach wynajętego pokoiku, tonącego w bałaganie, strachu i sprawiającego wrażenie więzienia dla najpiękniejszej wrażliwości, jaka mogłaby zostać wydobyta z duszy i umysłu ukochanego Li Qi. Wszystko, co mogłoby zostać rzeczywiście artystem, umarło, zabite ubóstwem i szaleństwem geniuszu. Jednak podobno to w szaleństwie jest metoda.

Bohaterka, zaplątana w sieć własnych paranoi i wątpliwości, szuka wciąż swojego sposobu na istnienie. Zmieniając partnerów, dotykając dna życia w Pekinie, odurzając się muzyką. Każdy dzień przynosi jej nowe pytania, a każda odpowiedź wydaje się być błędna. Nawet szczęśliwe chwile u boku G., nasycone spokojem i bezpieczeństwem wydają się być zbyt stateczne, serce Chun znów się wyrwa do przodu, poszukując wciąż nowych doznań, wciąż nowych pomysłów. Sue biegnie poprzez swoje życie, rzadko oglądając się za siebie, a i przed sobą nie widząc żadnego sprecyzowanego celu. Jedynym zadaniem, któremu próbuje sprostać jest: dogonić wolność!

Autorka jest w swoim opowiadaniu ogromnie szczerą i uczciwą, wręcz brutalną. System wartości, który chwije się na „wciąż wiotkiej nóżce młodości”, zmieniając swoje oblicza, przynosi na myśl próby zdefiniowania siebie, jakie każdy człowiek podejmował i podejmuje w swoim życiu, jeśli tylko pragnie się rozwijać. Chun Sue nie boi się nikogo, poza samą sobą, poza własną „autopogardą”. Jest dzielną i odważną młodą osobą, pokazuje nam jak wiele siły wymaga po prostu „być”. Historia jej życia dotyka nasze czułych punktów wspomnień, przypomina własne lęki dorastania i być może tym właśnie broni się przed krytyką.

Ponieważ w „Chińskiej lalce” wydawałoby się nie ma niczego wyjątkowego. Powieść wzrusza, owszem, i wywołuje w nas reakcję, jednak z opisem trudnego wchodzenia w dorosłość mieliśmy już do czynienia

nieraz. Inicjacja seksualna z chłopcem, który Chun Sue niemal gardzi, wzbudza w nas jedynie litość, nie zaś zachwyt nad kontrowersyjnością, nad odwagą, nad kunsztem literackim czy fabularnym. Dostajemy w twarz brudem i zaduchem zmęczonych cierpieniem młodych ludzi, jednak ten cios nie ma w sobie wielkiego przesłania. Mam wrażenie, że to relacja miejscami tak subiektywna, że „sucha” dla odbiorcy. Autorka próbowała oddać swoją emocjonalność, stała się zaś niezrozumiała, a momentami wręcz obojętna czytelnikowi.

Powieść ta nie ma początku ani końca. Zaczyna się nigdzie, a jej koniec to urwanie historii w miejscu codziennym, bez słowa pożegnania. Chun Sue ogląda się na nas licząc na zrozumienie, jednak w paradoksie dojrzałości doznań i braku umiejętności literackich przesłanie, jakim chciała nas uraczyć, gubi się, staje się zamglone, a możliwość interpretacji jest tak wieloraka, lecz jednocześnie powierzchowna, że aż niechętnie się do niej zabieramy.

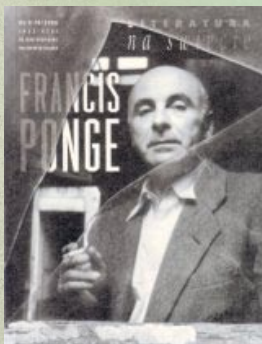
Mimo tych wad Chun Sue zasługuje na pewnego rodzaju pochwałę, gdyż ukazuje nam rzeczywistość współczesnych Chin, Pekinu, gdzie liberalizm europejski nie dociera w takim stopniu, gdzie rozdźwięk między nastrojami społecznymi, ustrojem, a rozwojem technologicznym tworzy absurdalne blokady w stosunku do młodych ludzi. Przeraza nas tyrania w szkole, ubóstwo młodych ludzi i ogrom bezmiennego mijania się na ulicy, chwil gdy znika się z powierzchni ziemi i nikt tak naprawdę o to zniknięcie nie pyta.

„Chinska lalka” to esencja szczerości, pogodzenia ze swoją przeszłością i walki o przyszłość. Daje nam nadzieje, że krzyk wolności nie ucieka w nicość, bez oddźwięku. Bo choć wszyscy jesteśmy inni, potrafimy się utożsamić z tym samym lękiem i bólem. Chun Sue to mała zagubiona dziewczynka, która sama, brutalnie próbowała uczyńić z siebie kobietę.

Chun Sue,
Chińska lalka,
 tłum. Małgorzata Dobrowolska,
Wyd. Prószyński i S-ka,
Warszawa 2007.

Próba uRZECZYwistnienia

Dariusz Szymanowski



Czy może być coś bardziej zwyczajnego od skrzynki, drzwi, lampy, szklanki? Odpowiedź na tak postawione pytanie wydaje się banalnie prosta. Wszystkie z wymienionych tutaj rzeczy są przedmiotami codziennego użytku. Pospolitymi, ułatwiającymi życie artefaktami, które na nikim już nie robią dziś wrażenia. Czy słuszną jest jednak nasza wobec nich ignorancja? Przeczy już temu nasze do nich przywiązanie, a może raczej powinienem napisać - nasze od nich uzależnienie.

„Po stronie rzeczy” stoi Francis Ponge. Temu mało znanemu szerszej publiczności w Polsce francuskiemu poecie, został poświęcony przedostatni numer miesięcznika „Literatura na Świecie” („Literatura na Świecie” 2006, nr 9-10). Obok tekstów poety, w tłumaczeniu między innymi Anny Wasilewskiej czy Jana Marii Kłoczowskiego, znajdziemy tam także krytyczne omówienia pióra samego Jean-Paul Sartre’a, Italo Calvino, Philippe Herjeane czy Jean-Marie Gleize.

Zanim czytelnik „Literatury na świecie” przejdzie do lektury utworów Francis Ponge’a, winien przejrzeć wspomniane wyżej artykuły, które stanowią dookreślające i sytuujące odbiorcę względem dzieła Ponge’a wprowadzenie. Proponuję jednak nie trzymać się ściśle spisu treści i jako pierwszy przeczytać szkic Jean-Marie Gleize pod tytułem „Na rzecz przedmiotów specyficznych”, w którym to autor próbuje wskazać proveniencję dzieła autora „Otoczaka”. Źródeł jej natchnienia upatrując m.in. w twórczości Lukrecjusza, Horacego, Malherbe’a czy Mallarmego. Wspomina również wstręt, jakim francuski poeta dążył romantyków, symbolistów i dekadentów. Większą część eseju poświęca jednak Gleize stosunkowi Ponge’a do innego interesującego poety, jakim jest Denis Roche.

Niezwykle intrygujący jest artykuł „Zmierz rzeczy”, którego autorem jest Philippe Herjean. Wskazuje on na trzy możliwe poziomy lektury Pongeowskiego dzieła, w którym nieustannie powraca pytanie o odległość, która dzieli słowa i rzeczy. Pierwszym z możliwych odczytań, jakie podsuwa czytelnikowi Herjean, staje się hipoteza, jaką odbiorca winien jest postawić już na początku lektury. Wedle której „słowa i rzeczy stanowiłyby doskonale odbicia”. A takie myślenie o relacji słowo-rzecz (szerzej desygnat, na który słowo wskazuje) odsyła nas do wiecznego sporu o iluzję mimesis. Według badacza taki stosunek wobec siebie słów i artefaktów, jest wynikiem pragnienia poety języka pierwotnego, w którym najważniejszym zadaniem człowieka staje się nazywanie, nadawanie imion. Drugie podejście kieruje naszą uwagę tylko i wyłącznie na rzecz. Pozostawiając poza granicami naszego zainteresowania sposób re-representacji. „Tak pojmowana poezja Ponge’a redukowalaby się do neutralnego czy też obiektywnego inwentarza natury” - pisze Herjean. Trzecią możliwością jest myślenie o języku poetyckim Ponge’a jak o języku przejrzystym, potrafiącym „odtworzyć rzeczywistość oraz rzeczy w ich integralności, bez zaburzeń i bez zakłóceń”.

Na koniec polecam esej Jean-Paul Sartre'a „Człowiek i rzeczy”, traktujący o zmaganiu się Ponge'a z językiem. Z „żywołem”, który był dla poety najważniejszym, ale zarazem najgroźniejszym wynalazkiem ludzkości. „Wszystko jest słowem” - napisał kiedyś autor „Mimoz”. Ta gorzka prawda zwróciła Ponge'a nie tyle, jak pisze Sartre, „przeciwko językowi w ogóle, lecz przeciwko językowi jakim się mówi”. Poeta wybierze negatywne rozwiązanie, które było wynalazkiem surrealistów, mianowicie „zniszczenie słów przez słowa”.

Twórczość Francisca Ponge'a wymyka się jednoznaczny osądom. Rodzi się nawet pytanie, czy o jego dziele w ogóle można mówić jak o poezji? (Wspomina o tym także Jean-Marie Gleize – „Skądinąd trzeba powiedzieć, że Ponge uczynił wszystko, by maksymalnie oddalić się od poezji”). Z pewnością tak, przynajmniej w takim sensie, w jakim mówi się o poezji Gulliiama Apollinaire'a czy Stephana Mallarmego. Choć utwory Ponge'a, bardziej niż wyżej wspomnianych, przypominają hybrydalną strukturę, na którą składa się precyzja poetyckiej wypowiedzi, subtelny tok narracji, której korzenie tkwią w realizmie francuskim końca XIX wieku. Wszystko to zaś spotyka się u Ponge'a na drodze filozoficznego myślenia. Gleize pisze, że jego utwory – „nie

są wierszami czy zbiorami wierszy, ani też nie należą do innych sklasyfikowanych gatunków, nie dają się czytać jako znana nam 'proza' (przeciwieństwo poezji) czy wiersz (przeciwieństwo prozy), czy też ich wymęczone melanje (proza poetycka, poematy prozą etc.)". I choć sam Ponge odżegnywał się od nazywania go poetą, a Sartre twierdził, iż autor „Mimozy” „nie jest filozofem - w każdym razie nie przede wszystkim”, to nie ulega wątpliwości, że był on twórcą niezwykłym.

Do lektury Ponge'a, polskiego czytelnika zaprowadzić może, a nawet powinno dzieło Zbigniewa Herberta. I choć w 1924 roku (jest to rok urodzin autora „Pana Cogito”) francuski poeta miał już 25 lat i odbywał właśnie swą pierwszą podróż do Włoch, to pomimo licznych różnic, jakie ich dzieliły, obaj wiele swoich wierszy poświęcili właśnie rzeczom. Wierząc, iż przez ich zrozumienie prowadzi droga do odkrycia „podszewki świata”. Na Pongeowski rodowód Herbertowskich wierszy o rzeczach wskazywał już Czesław Miłosz w szkicu „Ruiny i poezja”. Pisał w nim – „[...] Herbert przypomina Henri Michaux, przede wszystkim jednak w swoich mythopoems, jak to nazwano, czyli wierszach o przedmiotach, zbliża się do Francisca Ponge'a”. To co łączy poezję Ponge'a i Herberta, prócz fascynacji rzeczami, jest stosunek do

języka, który nazwać by można próbą osiągnięcia „przezroczystości semantycznej” (termin zaczerpnięty z filozofii Husserla). Mam na myśli taką sytuację, w której samo słowo jest już desygnatem, do którego odsyła nas jako znak językowy. Herjean pisze o tym tak – „Słowa są precyzyjne, ponieważ potrafią naśladować lub kopiować naturę. Tak oto wymyślone przez człowieka słowo ‘dżban’ oddaje, samo z siebie, absolutną i „wieczną dżbanowatość” przedmiotu”. Herjean w innym miejscu swego eseju pisze o języku Ponge’a – „Musujące, wrzące i rozgadane pismo jest stale kanalizowane i ujmowane w karby rozumu. Tutaj upojenie jest trzeźwe”. Miłosz o Herbercie w jednym ze szkiców napisze podobnie – „Mamy poczucie, że poezja Herberta jest nadzwyczaj trzeźwa”. Trzeźwość, jako jedno z haseł wywoławczych dzieła, tak polskiego jak i francuskiego poety, to nie przypadek. „Kamień” autora „Króla Mrówek” i „Otoczak” Ponge’a są jednym i tym samym symbolem tajemnicy i pragnienia zarazem. Pragnienia osiągnięcia czegoś stałego i określającego samego (przez) się. Ponge miał na myśli język. Herbert system wartości, będący swoistym kodeksem zasad, którego granic pod żadnym pozorem człowiek nie może przekroczyć. Obydwaj natchnienie czerpali z poezji R.M. Rilkego, w którego wierszach często

bohaterami były przedmioty. Wszyscy marzyli o u-rzeczy-wistnieniu, tj. odkryciu sensu istnienia.

Francis Ponge stał się dla wielu twórców źródłem inspiracji. Z jego namysłu nad „konkretem”, pospolitymi rzeczami zdają się czerpać malarze, między innymi prekursor pop-artu Balthus, a później przedstawiciele amerykańskiego hiperrealizmu Andrew Wyeth, Edward Hooper, Georges Tooker i inni. Jest to autor, którego czas dopiero nadchodzi, na pewno w naszym kraju.

koniec

20